Pozwól mi zostać zwyczajnie

Najtrudniej dzielić życie, kiedy nie dzieje się nic wielkiego



Laura Bellini

Pozwól mi zostać zwyczajnie

Najtrudniej dzielić życie, kiedy nie dzieje się nic wielkiego

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384903797

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie przewidziałam 11
Rozdział 2 - Miejsce przy stole 22
Rozdział 3 - To, czego nie było w planie..... 34
Rozdział 4 - Wieczór bez scenariusza 45
Rozdział 5 - Prawo do odmowy..... 61
Rozdział 6 - Pierwszy pocałunek 73
Rozdział 7 - Między tym, co nasze, a tym, co widzą inni 86
Rozdział 8 - Tam, gdzie nikt nie gra żadnej roli..... 97
Rozdział 9 - Cena wspólnego ryzyka 109
Rozdział 10 - Bez miejsca na ucieczkę..... 120
Rozdział 11 - Rzeczy, o które trzeba poprosić..... 134
Rozdział 12 - Historia, której nie miałam prawa opowiedzieć 143
Rozdział 13 - Wszystko, czego nie da się pokazać..... 155
Rozdział 14 - To, czego boimy się nazwać 166
Rozdział 15 - Kiedy miłość staje się częścią planu..... 176
Rozdział 16 - Cisza, której nie da się zaplanować..... 189
Rozdział 17 - To, co zostaje po ciszy 200
Rozdział 18 - Miejsce, którego nie trzeba udowadniać 211
Rozdział 19 - Zostać bez obietnicy doskonałości..... 223
Rozdział 20 - Pozwól mi zostać zwyczajnie..... 234

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam po wejściu do domu kultury, była kartka przyklejona do drzwi sali widowiskowej. Ktoś napisał na niej grubym, czarnym flamastrem: „PROSIMY NIE PRZESUWAĆ KRZESEŁ. PODŁOGA NIE WYTRZYMA".

Stałam przed nią z teczką pod pachą, telefonem przy uchu i planem, który jeszcze godzinę wcześniej wydawał mi się doskonały.

— Oczywiście, że zdążymy — powiedziałam do słuchawki. — Sześć tygodni to wystarczająco dużo czasu. Potrzebuję tylko potwierdzenia finansowania i podpisanej umowy z wykonawcą.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Znałam ten rodzaj ciszy. Zwykle oznaczał, że ktoś zamierzał powiedzieć coś nieprzyjemnego i właśnie szukał sposobu, żeby odpowiedzialność za to nie spadła na niego.

— Nadia, pamiętaj, że pieniądze są na wydarzenie, nie na generalny remont — odezwała się wreszcie Marta, moja koordynatorka z fundacji.

— Nie planuję generalnego remontu.

Spojrzałam na pęknięcie biegnące przez ścianę, od parapetu aż po odpadającą listwę przypodłogową.

— Raczej odświeżenie.

— Z tobą odświeżenie zawsze kończy się galą.

— Bo ludzie zasługują na coś więcej niż plastikowe krzesła i termos z herbatą.

— Ludzie czasem chcą po prostu napić się herbaty.

Uśmiechnęłam się, chociaż nie mogła tego zobaczyć.

— Dlatego będzie herbata. W porcelanie.

Rozłączyłam się, zanim zdążyła zaprotestować. Miałam trzydzieści siedem lat, dwanaście lat doświadczenia w produkcji wydarzeń kulturalnych i niebezpieczną skłonność do traktowania każdego ograniczenia jak zaproszenia do negocjacji. Dzięki temu potrafiłam zorganizować koncert w nieogrzewanej stodole, przekonać znaną aktorkę do występu bez honorarium i zamienić zaniedbany skwer w miejsce, o którym przez tydzień mówiło pół województwa.

Nie potrafiłam natomiast spokojnie zaakceptować, że coś może być wystarczająco dobre bez mojego udziału.

Tego ostatniego oczywiście nie wpisywałam do zawodowego życiorysu.

Dom kultury stał na skraju niewielkiej podlaskiej miejscowości, między sklepem spożywczym a drogą prowadzącą ku polom. Miał drewniane schody, dach pamiętający kilka dekad i zapach, którego nie dało się pomylić z żadnym innym: kurz, stare deski, farba olejna i herbata parzona zbyt długo. Przez wysokie okna wpadało październikowe światło, rozjaśniając pustą salę, którą za sześć tygodni zamierzałam wypełnić mieszkańcami, muzyką i rozmowami.

Nazwę wydarzenia już znałam.

„Miejsce dla nas”.

Miałam projekt plakatu, wstępny program i listę osób, które chciałam zaprosić. Brakowało jedynie czegoś podstawowego: sali nadającej się do bezpiecznego użytkowania.

Przesunęłam butem fragment odklejonego linoleum i wyjęłam telefon, żeby zrobić zdjęcie. W kadrze znalazła się podłoga, smuga światła i czyjeś robocze buty.

— Lepiej tego nie fotografować — usłyszałam.

Podniosłam głowę.

Mężczyzna stojący po drugiej stronie sali trzymał w dłoni niewielki metalowy kątownik. Miał na sobie ciemny sweter z podwiniętymi rękawami i spodnie poplamione pyłem drzewnym. W jego włosach dostrzegłam pierwsze pasma siwizny, a na twarzy ten rodzaj spokoju, który u ludzi pracujących z własnymi rękami bywa bardziej przekonujący niż najlepszy garnitur.

Nie wyglądał na kogoś, kto czekał na moje instrukcje.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Bo jeśli chce pani pokazać, co trzeba naprawić, z tego miejsca nie będzie tego widać.

Przyklęknął przy jednej z desek i nacisnął ją kciukiem. Drewno ustąpiło z suchym trzaskiem.

— Tutaj jest problem. Nie tam, gdzie odstaje wykładzina.

Podeszłam bliżej.

— Jest pan wykonawcą?

— Przemysław Dąb.

Podniósł się i wyciągnął rękę. Uścisk miał zdecydowany, ale nie próbował udowadniać nim swojej siły.

— Nadia Ryś. Odpowiadam za projekt.

— Wiem.

— Skąd?

Wskazał brodą na rozłożone na parapecie dokumenty.

— Pani nazwisko jest na każdym arkuszu.

Roześmiałam się krótko.

— Lubię mieć wszystko pod kontrolą.

— Zauważyłem.

Nie zabrzmiało to jak komplement. Co ciekawe, nie zabrzmiało również jak zarzut.

Przemysław wrócił do oglądania podłogi, a ja przyglądałam mu się przez chwilę dłużej, niż wymagała uprzejmość. Mógł mieć około czterdziestu kilku lat. Poruszał się bez pośpiechu, jakby niczego nie musiał nikomu udowadniać. Było w tym coś irytującego, zwłaszcza dla kobiety, która od rana odebrała siedemnaście telefonów i zdążyła już trzykrotnie zmienić harmonogram.

— Potrzebuję kosztorysu do jutra — oznajmiłam.

— Do jutra mogę pani powiedzieć, co jest pilne.

— A reszta?

— Kiedy sprawdzę konstrukcję.

— Mamy sześć tygodni.

— Podłoga o tym nie wie.

Przez moment patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

— Zawsze jest pan taki optymistyczny?

Kącik jego ust drgnął.

— Przy drewnie? Zawsze.

Chciałam odpowiedzieć czymś równie złośliwym, ale wtedy zauważyłam stojący przy ścianie stary stół. Miał porysowany blat i jedną nogę podpartą kawałkiem cegły. Na jego powierzchni leżał drewniany klocek wygładzony setkami dotknięć.

— Co to jest?

Przemysław spojrzał we wskazanym kierunku.

— Klocek do gry. Dawniej starsi panowie spotykali się tutaj w czwartki. Potem zaczęli przychodzić też inni. Ktoś przynosił ciasto, ktoś karty. Podobno czasem siedzieli do późnego wieczora.

— I przestali?

— Sala zaczęła przeciekać. Później przyszły inne problemy.

Wziął klocek do ręki i odłożył go dokładnie w to samo miejsce.

— Szkoda byłoby zrobić tu coś pięknego, jeśli później znowu nikt nie będzie miał gdzie usiąść.

To zdanie zatrzymało mnie skuteczniej niż jego wcześniejsze uwagi o podłodze.

Spojrzałam na swoje dokumenty. Miałam w nich wszystko: scenariusz otwarcia, propozycje występów, patronaty medialne, plan promocji. Nie miałam natomiast odpowiedzi na pytanie, kto przyjdzie tutaj w zwykły czwartek, kiedy zgasną światła, a fotografowie pojadą do domu.

— Wydarzenie ma przyciągnąć ludzi — powiedziałam.

— Wierzę. Tylko później trzeba ich jeszcze zatrzymać.

Nie odpowiedziałam od razu.

Z korytarza dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Za oknem wiatr poruszył gałęziami starej lipy. Przemysław schylił się po narzędzia, a ja nagle poczułam dziwną potrzebę, żeby nie kończył naszej rozmowy.

— Ma pan jakieś pomysły? — zapytałam.

Wyprostował się.

— Na salę?

— Na to, żeby ludzie chcieli tutaj wracać.

Przez chwilę patrzył na mnie uważnie, jakby sprawdzał, czy pytam poważnie.

— Najpierw trzeba ich zapytać, czego potrzebują.

— Mam przygotowaną ankietę.

— A rozmawiała pani z kimś?

Zacisnęłam palce na teczce.

— Jestem tutaj od dwóch godzin.

— To dobry początek.

Powiedział to łagodnie. Bez wyższości, bez triumfu. I właśnie dlatego poczułam się niespodziewanie odsłonięta.

Zazwyczaj wiedziałam, jak zrobić dobre pierwsze wrażenie. Wiedziałam, kiedy podnieść głos, kiedy się uśmiechnąć i jak przekonać rozmówcę, że pomysł, którego jeszcze przed chwilą się obawiał, jest dokładnie tym, czego potrzebuje. Przy Przemysławie żaden z tych odruchów nie wydawał się szczególnie przydatny.

Mój telefon zawibrował. Na ekranie pojawiła się wiadomość od Marty: „Pamiętaj o materiałach promocyjnych. Sponsor chce zobaczyć ludzi przy pracy".

Odruchowo podniosłam aparat.

— Mogę zrobić panu zdjęcie? Do dokumentacji projektu.

Przemysław spojrzał najpierw na telefon, potem na mnie.

— Nie dzisiaj.

Opuściłam rękę.

— W porządku.

Przytaknął, jakby taka odpowiedź była czymś całkowicie naturalnym, i wrócił do mierzenia desek.

A mnie zaskoczyło, jak bardzo chciałam dowiedzieć się, co kryło się za jego odmową. Nie dlatego, że potrzebowałam fotografii. Chciałam zrozumieć człowieka, który bez trudu powiedział „nie" kobiecie przyzwyczajonej do znajdowania sposobu na wszystko.

Kiedy kilka minut później wychodziłam na drewniane schody, zobaczyłam, że Przemysław stanął w drzwiach z moją teczką.

— Zostawiła pani plan.

Podał mi dokumenty, ale nie odsunął się natychmiast. Staliśmy na tyle blisko, że czułam delikatny zapach świeżego drewna na jego swetrze.

— Dziękuję.

— Pani Nadio?

— Tak?

— Proszę jutro przyjść bez aparatu.

Uniosłam brwi.

— A z czym?

Spojrzał w stronę pustej sali.

— Z czasem.

Zamknął drzwi, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Zostałam na schodach, z chłodnym powietrzem na twarzy i teczką przyciśniętą do piersi. W kalendarzu miałam spotkania zaplanowane z dokładnością do kwadransa. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio ktoś poprosił mnie o czas, nie obiecując w zamian żadnego rezultatu.

Spojrzałam na zamknięte drzwi.

Czy potrafiłabym wrócić tutaj jutro nie po to, żeby coś zorganizować, lecz żeby naprawdę przy kimś zostać?

Rozdział 1 - Warunki, których nie przewidziałam

Następnego ranka przyjechałam do domu kultury piętnaście minut przed umówioną godziną, z papierowym kubkiem kawy, laptopem i postanowieniem, że tym razem nikomu nie pozwolę wytrącić się z równowagi.

Aparat zostawiłam w samochodzie.

Nie był to gest szczególnie heroiczny, ale kosztował mnie więcej, niż chciałam przyznać. W moim zawodzie dokumentowanie rzeczywistości stanowiło niemal odruch. Gdy widziałam piękne światło, myślałam o zdjęciu. Gdy ktoś mówił coś poruszającego, zapamiętywałam zdanie nadające się do wykorzystania w materiałach promocyjnych. Nawet przypadkowe spotkania potrafiłam zamienić w opowieści, które później pomagały zdobyć finansowanie kolejnych projektów.

Tego ranka zamierzałam jednak najpierw słuchać.

Przemysław stał przy otwartym oknie sali, pochylony nad szkicem wykonanym ołówkiem na kawałku kartonu. Miał na sobie jasnoszarą koszulę z podwiniętymi rękawami. Kiedy usłyszał moje kroki, podniósł głowę i spojrzał na moje dłonie.

— Bez aparatu — zauważył.

— Za to z kawą i argumentami.

— Argumenty mogą się przydać. Kawę proszę postawić dalej od drewna.

Przesunęłam kubek na parapet.

— Dzień dobry również panu.

Uśmiechnął się, tym razem wyraźnie.

— Dzień dobry, pani Nadio.

Nie wiedziałam, dlaczego sposób, w jaki wypowiedział moje imię, zabrzmiał tak, jakby rzeczywiście cieszył się z mojego przyjścia. Być może dlatego, że nie próbował być przesadnie uprzejmy. Patrzył na mnie bez pośpiechu, uważnie, a potem wracał do pracy, jakby zakładał, że nie muszę nieustannie znajdować się w centrum jego zainteresowania.

Było to przyjemne i nieznośne jednocześnie.

Rozłożyłam dokumenty na stole, którego chwiejna noga nadal opierała się na cegle.

— Przygotowałam harmonogram. Pierwszy tydzień: prace zabezpieczające. Drugi i trzeci: naprawy. Czwarty: malowanie i wyposażenie. Piąty: próby, ustawienie przestrzeni, promocja. Szósty: otwarcie.

Przemysław podszedł i spojrzał na wydruk.

— A kiedy dowiemy się, co trzeba naprawić?

— W pierwszym tygodniu.

— Czyli pani harmonogram zakłada, że znajdziemy dokładnie tyle problemów, ile zdążymy rozwiązać?

— Zakłada sprawne działanie.

— Drewno nie pracuje według harmonogramów.

— Ludzie też nie, ale jakoś organizuję wydarzenia.

Spojrzał na mnie z czymś, co mogło być rozbawieniem.

— To musi być ciekawe.

— Co?

— Próba zorganizowania wszystkich ludzi.

Powstrzymałam uśmiech.

— Nie wszystkich. Tylko tych, którzy nie czytają moich wiadomości.

Przemysław pochylił się nad planem sali i zaznaczył trzy miejsca czerwonym ołówkiem. Wyjaśnił, że podłoga wymaga sprawdzenia przy ścianie zewnętrznej, gdzie przez lata dostawała się wilgoć. Stare deski można było częściowo zachować, ale nie zamierzał obiecywać tego przed zdjęciem fragmentu pokrycia. Jedno z okien nie domykało się prawidłowo, a pod sceną należało sprawdzić legary.

Słuchałam, próbując jednocześnie przeliczyć jego słowa na pieniądze i dni.

— Ile to potrwa?

— Zależy od tego, co znajdziemy.

— Przybliżony termin.

— Przybliżony będzie uczciwy dopiero po oględzinach.

— Wie pan, że to zdanie doprowadza producentów kulturalnych do rozpaczy?

— Wolę producentkę w rozpaczy niż gościa, który wpadnie nogą przez podłogę.

Nie mogłam się z tym spierać.

Pokazałam mu wizualizację przygotowaną przez graficzkę. Jasne ściany, rzędy krzeseł, niewielka scena, girlandy delikatnego światła i wielki napis „Miejsce dla nas" zawieszony nad wejściem.

Przemysław obejrzał obraz, ale zatrzymał palec na czymś innym.

— Gdzie będą stoły?

— Jakie stoły?

— Do wspólnych spotkań. Kart, szycia, rozmów, czegokolwiek ludzie tutaj potrzebują.

— Możemy je dostawiać.

— A gdzie je przechowywać?

Otworzyłam usta i zamknęłam je ponownie.

Tego nie przewidziałam.

Przemysław wyjął z kieszeni miarkę, rozwinął ją i wskazał wnękę przy bocznej ścianie.

— Można zrobić składane blaty. Ławki też. Sala nie musi przez cały czas wyglądać jak widownia.

— Ale podczas otwarcia potrzebujemy miejsca dla stu osób.

— A przez pozostałe trzysta dni?

Oparłam dłonie na biodrach.

— Nie zamierzam urządzać tutaj pustej sali po zakończeniu projektu.

— W takim razie proszę mi pozwolić zaprojektować ją tak, żeby była potrzebna również później.

Zamilkłam.

Nie dlatego, że brakowało mi odpowiedzi. Miałam ich kilka, wszystkie sensowne i poparte doświadczeniem. Ale zobaczyłam nagle różnicę między naszymi sposobami myślenia. Ja wyobrażałam sobie salę pełną ludzi w jednym, doskonale zaplanowanym momencie. On widział ją w zwykły wtorek, kiedy przyjdą trzy osoby i będą chciały usiąść przy jednym stole.

— Co pan proponuje? — zapytałam.

— Dwa warunki.

— Słucham.

— Po pierwsze, żadne prace nie zostaną przyspieszone kosztem bezpieczeństwa. Po drugie, nie będę wykonywał dekoracji, które przeszkodzą w późniejszym korzystaniu z sali.

Uniosłam brwi.

— A jeśli sponsor zażyczy sobie dekoracji?

— Niech sponsor je zdejmie po wydarzeniu.

Roześmiałam się, zanim zdążyłam zapanować nad sobą.

Przemysław patrzył na mnie przez chwilę, a potem również się uśmiechnął. Nie był to szeroki, demonstracyjny uśmiech, lecz krótki moment rozluźnienia, który zupełnie zmieniał jego twarz.

— Pan naprawdę nie lubi kompromisów — powiedziałam.

— Lubię dobre kompromisy.

— A kto decyduje, które są dobre?

— Możemy oboje.

To ostatnie zdanie zabrzmiało inaczej niż nasza wcześniejsza wymiana uwag. Było propozycją, nie wyzwaniem.

Zanim odpowiedziałam, do sali weszła kobieta w granatowym swetrze, niosąc siatkę z pieczywem i duży termos. Przedstawiła się jako Helena Wysocka, kierowniczka domu kultury. Przywitała Przemysława z widoczną serdecznością, a mnie uścisnęła dłoń tak energicznie, że niemal upuściłam długopis.

— Dobrze, że się państwo spotkali — powiedziała. — Bo ja już nie mam siły tłumaczyć każdemu z osobna, że nie chodzi tylko o ładne otwarcie.

Spojrzałam na nią.

— Czy wszyscy tutaj uważają, że chcę zorganizować wyłącznie ładne otwarcie?

Helena zastanowiła się przez chwilę.

— Nie. Ale pani ma dużo zdjęć w prezentacji.

Przemysław odwrócił się do okna.

Byłam niemal pewna, że się uśmiechał.

Usiedliśmy przy termosie, a Helena opowiedziała nam o mieszkańcach, którzy przed zamknięciem sali spotykali się tutaj regularnie. O pani Zofii, uczącej dzieci szydełkowania. O dwóch emerytowanych nauczycielach prowadzących wieczory szachowe. O grupie kobiet, które chciały organizować wspólne czytanie, ale nie miały gdzie rozłożyć krzeseł.

Robiłam notatki. Początkowo z zawodowego przyzwyczajenia, potem coraz bardziej z ciekawości.

— Kiedy ostatnio odbyło się tutaj takie spotkanie? — zapytałam.

— Prawie dwa lata temu — odpowiedziała Helena. — Najpierw zamknęliśmy część sali, później całość. Ludzie przez jakiś czas pytali, kiedy wrócimy do normalności. A potem przestali pytać.

Przemysław spojrzał na drewniany klocek leżący na stole.

— Właśnie dlatego nie chcę zrobić tego byle jak — powiedział.

Helena skinęła głową, a mnie przez chwilę zrobiło się niewygodnie. Nie dlatego, że ktokolwiek mnie oskarżał. Po prostu po raz pierwszy poczułam ciężar tego miejsca inaczej niż przez pryzmat budżetu.

Po śniadaniu rozpoczęliśmy oględziny. Przemysław pokazał mi, gdzie mogę bezpiecznie stanąć, kiedy będzie podważał fragment starego pokrycia. Zdjął kilka desek, odsłaniając ciemniejsze drewno pod spodem. Zapach wilgoci zmieszał się z pyłem, a ja przyklęknęłam obok niego, żeby lepiej zobaczyć konstrukcję.

— Tutaj trzeba wymienić legar — wyjaśnił. — Ale reszta może się jeszcze nadać.

— Czyli nie jest tak źle?

— Tego nie powiedziałem.

— Potrafi pan odebrać człowiekowi nadzieję jednym zdaniem.

— Za to nie sprzedaję fałszywej.

Spojrzałam na niego z bliska. Miał niewielką bliznę przy lewej brwi i jasne oczy, które nie uciekały przed moim spojrzeniem. Na jego nadgarstku widniał ślad po starym oparzeniu. Zauważył moje zainteresowanie, ale nie skomentował go.

— Mogę pomóc? — zapytałam.

— Może pani potrzymać latarkę.

— Studiowałam zarządzanie kulturą, a teraz awansowałam na stanowisko asystentki latarki.

— To odpowiedzialne stanowisko. Proszę nie świecić mi w oczy.

Pracowaliśmy w milczeniu przez kilkanaście minut. Było w tym coś zaskakująco przyjemnego. Nie musiałam podtrzymywać rozmowy ani udowadniać, że jestem kompetentna. Wystarczyło wykonywać proste polecenia, obserwować i pytać wtedy, kiedy czegoś nie rozumiałam.

Kiedy wreszcie wstaliśmy, Przemysław otrzepał dłonie i podał mi czystą szmatkę.

— Ma pani pył na policzku.

Odruchowo potarłam twarz.

— Teraz po drugiej stronie — zauważył.

Westchnęłam.

— Proszę się nie śmiać.

— Jeszcze się nie śmieję.

Wyciągnął rękę, lecz zatrzymał ją w połowie drogi.

— Mogę?

Przez sekundę patrzyłam na jego dłoń.

— Tak.

Delikatnie starł smugę pyłu z mojego policzka krawędzią szmatki. Gest był krótki i zupełnie praktyczny. Mimo to zauważyłam ciepło jego dłoni i to, jak szybko cofnął się, pozostawiając między nami uprzejmą odległość.

Nie próbował przedłużyć chwili.

Ja natomiast pomyślałam, że mogłabym.

Telefon zadzwonił, zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek sensownego.

Marta.

Odebrałam, odchodząc kilka kroków.

— Mam dobrą wiadomość — oznajmiła. — Sponsor zaakceptował wstępną kwotę. Ale chce materiał promocyjny z postępów prac. Najlepiej z wykonawcą. Możemy zrobić historię człowieka, który przywraca życie staremu miejscu.

Spojrzałam na Przemysława. Właśnie przykładał miarkę do futryny, skupiony na swojej pracy.

— Muszę to z nim uzgodnić — odpowiedziałam.

— Oczywiście. Tylko postaraj się, żeby się zgodził. To świetny temat.

Po zakończeniu rozmowy przez moment stałam bez ruchu. Wiedziałam, jak łatwo mogłabym przekonać kogoś, że kilka zdjęć nie stanowi żadnego problemu. Wiedziałam też, że Przemysław już raz odmówił.

Wróciłam do stołu.

— Mamy finansowanie na pierwszy etap — powiedziałam. — Pod warunkiem przedstawienia szczegółowego kosztorysu.

— To dobra wiadomość.

— Jest jeszcze sprawa promocji. Sponsor chciałby pokazać osobę odpowiedzialną za remont.

Przemysław powoli zwinął miarkę.

— Nie.

— Nie zamierzałam pana przekonywać. Chciałam tylko przedstawić sytuację.

— W takim razie przedstawiła ją pani bardzo jasno.

Przyjrzałam mu się uważnie.

— Nie chce pan być fotografowany czy nie chce pan być częścią projektu?

— To dwie różne rzeczy.

— Wiem. Dlatego pytam.

Odłożył miarkę.

— Chcę naprawić salę. Nie chcę występować w opowieści o tym, jak ją naprawiamy.

— Czasami takie opowieści pomagają zdobywać pieniądze.

— Rozumiem. Ale moja twarz nie musi być jedną z nich.

Nie odpowiedziałam od razu.

Był spokojny, a jednak dostrzegłam zmianę w jego głosie. Nie chodziło o zwykłą niechęć do fotografii. Mówił tak, jakby już kiedyś musiał tłumaczyć coś podobnego i nie zamierzał powtarzać tej rozmowy.

— Uszanuję to — powiedziałam.

Przemysław przyglądał mi się przez chwilę.

— Dziękuję.

Zaskoczyło mnie, że tak proste słowo sprawiło mi przyjemność.

Po południu przedstawiłam Helenie nową koncepcję ustawienia sali. Mniej stałych rzędów krzeseł, więcej ruchomych elementów, miejsce na składane stoły i niewielka przestrzeń, którą można było wykorzystywać niezależnie od sceny. Kierowniczka słuchała z rosnącym zainteresowaniem.

— To naprawdę mogłoby działać — powiedziała.

Przemysław stał przy drzwiach.

— Pod warunkiem że znajdziemy pieniądze na właściwe materiały.

— Znajdziemy — odpowiedziałam.

Spojrzał na mnie.

— Tym razem wierzę, że pani spróbuje.

Nie wiedziałam, czy był to komplement, czy ostrzeżenie.

Kiedy zbierałam dokumenty, podszedł bliżej.

— Jutro przyjdę wcześniej. Chcę sprawdzić pozostałe legary.

— Będę o ósmej.

— Nie musi pani.

— Wiem.

Przez moment patrzył na mnie tak, jakby to właśnie ta odpowiedź była najciekawszą rzeczą, którą tego dnia usłyszał.

— W takim razie do jutra, Nadio.

Po raz pierwszy pominął oficjalne „pani".

Zauważyłam to natychmiast.

I równie natychmiast zrozumiałam, że czekam na kolejny dzień nie tylko dlatego, że remont wreszcie zaczynał nabierać sensownego kształtu.

Rozdział 2 - Miejsce przy stole

Trzeciego dnia przyjechałam do domu kultury z dwoma decyzjami, których nie zamierzałam zmieniać. Pierwsza dotyczyła projektu: sala miała służyć mieszkańcom również po uroczystym otwarciu. Druga była bardziej prywatna i zdecydowanie mniej rozsądna: chciałam poznać Przemysława Dęba poza godzinami pracy.

Nie wiedziałam jeszcze, co zrobię z tą drugą decyzją.

Pierwszą zamierzałam wprowadzić w życie natychmiast.

Helena przygotowała dla nas niewielkie pomieszczenie na zapleczu, gdzie mogliśmy rozłożyć dokumenty bez ryzyka zasypania ich pyłem. Na stole stał stary czajnik elektryczny, trzy niedobrane kubki i talerz z kruchymi ciastkami. Przez okno widać było ogród, w którym mokre liście pokrywały wąską ścieżkę.

Przemysław przyniósł kosztorys.

Był dokładny, uporządkowany i nie pozostawiał wiele miejsca na optymizm.

— Tyle? — zapytałam, wpatrując się w końcową kwotę.

— To cena materiałów i robocizny. Bez ozdób.

— Właśnie ozdoby były najtańsze.

— Zwykle są. Dopóki nie trzeba naprawiać tego, co ukrywają.

Westchnęłam, ale zamiast rozpocząć kolejną dyskusję, otworzyłam arkusz budżetowy.

Przez następną godzinę analizowaliśmy każdą pozycję. Zrezygnowaliśmy z części wyposażenia, które mogło poczekać. Ustaliliśmy, że drewniane ławki powstaną z

materiału odzyskanego podczas remontu, jeśli jego stan na to pozwoli. Przemysław zaproponował prostsze rozwiązanie zabudowy wnęki, a ja znalazłam środki na dodatkowe zabezpieczenie okien.

Pracowało nam się zaskakująco dobrze, kiedy przestaliśmy traktować każde zdanie jak zaproszenie do pojedynku.

— Teraz potrzebujemy ustalić zasady — powiedziałam, przesuwając w jego stronę czystą kartkę.

— Myślałem, że właśnie to robimy.

— Ustalamy koszty. Zasady to coś innego.

Oparł się wygodniej na krześle.

— Słucham.

— Wszystkie zmiany wpływające na budżet uzgadniamy wcześniej. Ja odpowiadam za finansowanie i organizację, pan za technologię i bezpieczeństwo. Żadnych decyzji podejmowanych za plecami drugiej osoby.

— Zgoda. I żadnych terminów obiecywanych sponsorom bez konsultacji ze mną.

— Mogę obiecać termin wydarzenia.

— Może pani. Ale nie może pani obiecać, że podłoga będzie gotowa wcześniej, niż pozwoli na to technologia.

Zapisałam jego uwagę.

— Coś jeszcze?

Przemysław zawahał się.

— Chciałbym, żebyśmy nie rozmawiali z mieszkańcami wyłącznie wtedy, kiedy potrzebujemy ich do programu.

Podniosłam wzrok.

— To znaczy?

— Jeśli mamy przygotować miejsce dla ludzi, nie możemy pytać ich tylko o to, jak chcieliby je zobaczyć w dniu otwarcia. Trzeba dowiedzieć się, co będą tutaj robić później.

— Właśnie dlatego zmieniłam projekt.

— Wiem. I doceniam.

Wypowiedział to spokojnie, bez śladu ironii. Poczułam nieoczekiwaną satysfakcję, większą niż po wielu zawodowych pochwałach.

— W takim razie proponuję spotkanie konsultacyjne — powiedziałam.

Przemysław uniósł brew.

— Z plakatami?

— Z herbatą.

— Bez mikrofonu?

— Bez mikrofonu.

— Zaczynamy się rozumieć.

Uśmiechnęłam się.

— Proszę nie przyzwyczajać się zbyt szybko.

Zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju weszła Helena. Przyniosła wiadomość, że kilku mieszkańców mogłoby przyjść następnego dnia wieczorem. Zaproponowałam otwarte spotkanie przy stole, bez oficjalnego programu. Przemysław zgodził się zostać, pod warunkiem że rozmowa nie zamieni się w prezentację gotowych pomysłów.

— A pan będzie mówił? — zapytałam.

— Jeśli ktoś zapyta o drewno.

— A jeśli zapyta o coś innego?

Spojrzał na mnie znad kubka.

— To zależy, jak bardzo będzie pani ciekawa odpowiedzi.

Nie potrafiłam odczytać, czy flirtował. Coraz częściej łapałam się na tym, że chciałam, aby tak było.

Po południu pojechaliśmy do jego warsztatu obejrzeć próbki drewna. Warsztat znajdował się kilka kilometrów od domu kultury, za niewielkim domem z jasną elewacją i drewnianymi schodami prowadzącymi na zadaszony ganek. Przy wejściu rosły dwa stare krzewy bzu. Za budynkiem rozciągał się sad, którego drzewa straciły już większość liści.

W środku pachniało świeżo ciętym drewnem, woskiem i kawą.

Przemysław otworzył szerokie drzwi, wpuszczając mnie do przestrzeni wypełnionej narzędziami, starannie ułożonymi deskami i niedokończonymi meblami. Wszystko miało swoje miejsce. Nawet drobne śrubki spoczywały w podpisanych przegródkach.

— Wygląda pan na człowieka, który nie lubi chaosu — zauważyłam.

— Lubię wiedzieć, gdzie jest dłuto.

— Ja lubię wiedzieć, gdzie są ludzie.

— To trudniejsze.

— Zdecydowanie.

Pokazał mi kilka rodzajów drewna. Tłumaczył różnice między sosną, jesionem i dębem, sposób zabezpieczania powierzchni oraz znaczenie wilgotności materiału. Słuchałam z zainteresowaniem, które szybko przestało być wyłącznie zawodowe.